



Maria Skorupińska

część I z III

Sygnatura notacji: **N1281**
Data urodzenia: **15.11.1930 r.**
Data nagrania: **28.06.2018 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Milanówek, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**
Czas nagrania: **część I: 48 min, część II: 48 min, część III: 45 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Bardzo panią proszę, żeby pani powiedziała, jak się pani nazywa, gdzie i kiedy pani się urodziła, jak się nazywali i kim byli pani rodzice, kilka słów o tradycjach rodzinnych. Zależy mi, żeby pani wymieniła pradiada powstańca styczniowego, swojego ojca chrzestnego, dowódcę plutonu w 8. pułku ułanów i Tadeusza Gerleckiego, brata stryjecznego mamy, porucznika w 1. szwadronie 25. pułku ułanów. Potem, żeby pani opowiedziała o swoim dzieciństwie do wybuchu wojny.

Maria Danuta Skorupińska: Nazywam się Maria Danuta Skorupińska. Urodzona 15 listopada 1930 roku w Krakowie. Moimi rodzicami byli ojciec Gustaw Józef Skowroński, urodzony 15 września 1894 roku i moja mama Maria Wanda Skowrońska z domu Piątkowska, urodzona 26 czerwca, niestety w dokumentach jest maj, nie dało się tego wyprostować, 1906 roku. Rodzice moi pracowali w firmie najpierw Buszczyński i synowie, to była firma, która zajmowała się wyspecjalizowaną hodowlą nasion buraka cukrowego, pszenicy. Miała wielkie majątki na Kresach, skonfiskowane przez Związek Radziecki, a w Polsce też kilka majątków i w jednym z tych majątków pracował mój dziadek Franciszek Gerlecki i zarazem mieszkali z babcią Marią z Piątkowskich Gerlecką. Moja siostra, to była Anna Teresa Skowrońska z męża Konarska potem, i mieszkaliśmy razem, ona była młodsza ode mnie o 3 lata, urodzona w trzydziestym trzecim roku w Inowrocławiu, 19 września. Mieszkaliśmy tam najpierw, moi rodzice jak się poznali w Więclawicach, ojciec przyjechał służbowo z Górki Narodowej, gdzie właśnie pracował u Buszczyńskich do Więclawic poznał moją mamę, zakochał się, pobrali się i zabrał ją do Krakowa. Tam ja się urodziłam, ale mama bardzo tęskniła, w związku z tym musieli wrócić i ojciec się zatrudnił w Więclawicach, w tej samej firmie. Przez kilka lat tam pracował i razem mieszkaliśmy. Potem przez jakieś niecałe dwa lata opiekował się małym majątkiem generała Władysława

Sikorskiego w Parchaniu, a potem z racji pójścia nas do szkoły przenieśliśmy się do Inowrocławia. Ojciec tam krótko pracował, do czasu wojny, około roku w Soleju. Skończyłam tam trzecią klasę podstawową i wybuchła wojna w trzydziestym dziewiątym roku. Wszyscy uciekali na wschód przed nawałą niemiecką. Mielśmy okrutne podróże, dziadek nam dał wozy z majątku, mojej babci i pojechaliśmy tam razem. Drugi wóz był z doktorem weterynarii, nazywał się Pikuziński z rodziną. Myśmy najpierw jechali dniem, ale potem się już nie dało, bo tabory wojskowe blokowały drogi, a Niemcy zniżali lot samolotowy i strzelali do tych ludzi. Ludzie rozpiechli się, szukali kartofli, schronienia. Doszliśmy do wniosku, że trzeba jechać nocą i w dzień się zatrzymać u jakichś gospodarzy. Zdarzało się, że dali nam jeść i można było się przespać w izbach czy w stodole. Dotarliśmy do Ożarowa Mazowieckiego, tutaj dopadli nas Niemcy i zabrali ojca i lekarza weterynarii do niewoli, jego wraz z synami, młodymi chłopakami, którzy już nigdy nie wrócili. Matka została z jednym synem, nieletnim, a myśmy zostały same kobiety, babcia, mama i dzieciaki, ja i moja siostra. Ja miałam wtedy dziewięć lat, nawet nie skończone, a moja siostra sześć. Były trudności z poszukianiem stangreta jakiegoś, by nas zawrócił do domu, bo przecież te konie, nikt nie umiał powozić takim zaprzęgiem ogromnym. W końcu znaleźliśmy jakiegoś człowieka, ta pani też znalazła i powróciliśmy do domu. Nasze mieszkanie w Inowrocławiu na ulicy Chociszewskiego 5 było już zajęte przez Niemców, ograbione z naszych rzeczy, więc udaliśmy się do dziadków, do majątku, gdzie pracował dziadek, bo tam było dużo pomieszczeń. Dziadek nas tam przyjął i tam mieszkaliśmy przez kilka miesięcy. Była taka sytuacja, że od razu znalazł się tak zwany Treuhänder czyli niemiecki zarządca i on zdecydował o wyłączeniu prądu. Oczywiście to spowodowało duże straty w majątku, bo te nasiona były hodowane w różny sposób. One miały różne temperatury, różne klatki, w których rosły te rośliny. Jedne rosły na dworze, drugie rosły w zamkniętych pomieszczeniach, to chodziło o doświadczenia różne. Dopiero jak dziadek mu wytłumaczył, że to jest taka sytuacja, że są duże straty dla was, bo już zajęli wszystko, to włączyli, ale straty były duże. Na początku w czterdziestym roku w lutym... Aha, i mój ojciec wrócił, ja nie wiem, w jakim był obozie. Ja później poszukiwałam tego obozu, ale niestety gdzieś tam się zagubiły ewidencje czy nie było ich po prostu. Jakiś obóz koło Wrocławia był podobno. Wymizerowany wrócił, był już na tamte czasy trochę starszy. Nawet do wojska już nie podlegał. W każdym razie wrócił wymizerowany i chory, a szczęśliwi byliśmy, że wrócił. Na początku lutego zjawili się Niemcy i wyrzucili nas w piętnaście minut bez niczego. Człowiek się tego nie spodziewał zupełnie. Wypędzili nas i powiedzieli tak: „Do Generalnej Guberni”. Czyli tak zwana wolna ręka, bo jak to inaczej nazwać. Nie odtransportowali nas, tylko wyrzucili po prostu. Przyjął nas wujek, on był lekarzem, nazywał się Stanisław Gerlecki. Sześć pokoi miał, lekarz. Młody lekarz, bo miał trzydzieści kilka lat zaledwie wtedy. Był asystentem profesora Semerau-Siemianowskiego na internie w szpitalu Świętego Łazarza na Książęcej. Ten szpital został zajęty przez Niemców, bo tu były piękne pawilony. Każdy oddział miał oddzielny pawilon, w parku, schodzącym od Placu Trzech Krzyży, aż do Ludnej, na tyłach Muzeum Narodowego. Zajęli to, przenieśli ten szpital na ulicę Leszno 15, gdzie trwał do chyba ostatnich kilku lat. Dopiero został zrównany z ziemią parę lat temu. On nas tam najpierw umieścił, bo u siebie miał całą rodzinę, więc umieścił nas najpierw na Książęcej, przez parę tygodni tam mieszkaliśmy, dopóki Niemcy tego nie zajęli, w jego służbowym mieszkaniu. To były służbowe mieszkania dla lekarzy, dwa pokoje z kuchnią i łazienką. Tam też mieszkał późniejszy profesor, urolog wspaniały, żyjący ponad sto lat, profesor Stefan Wesołowski. To wielka postać w urologii i w ogóle w medycynie, wspaniały człowiek. Po paru tygodniach zostaliśmy przeniesieni do wujka z powrotem, już nie było możliwości tam mieszkać. Poszłam do szkoły na Hożą. Powszechnej, tak się wtedy nazywała. Miałam wspaniałą dyrektorkę, panią Jurgielewicz-Zajdler, którą odwiedzałam jeszcze po maturze. Chodziłam do tej szkoły do Powstania, do siódmej klasy. Nie wiem, czy panowie wiedzą, że Niemcy nakazali uczyć się do siódmej klasy i potem

zawodówka, a innych gimnazjum i liceum to już nie dla Polaków. Mieliśmy być tylko siłą roboczą z jakimś zawodem. W tejsze szkole miałam bardzo dużo koleżanek. Na jedną trafiłam z książki, która była wydana dwa lata temu przez jakieś wydawnictwo, a ta pani z Anglii, Danuta Szlachetko, obecnie się tak nazywała, miała przyjechać, mieliśmy się spotkać, niestety zachorowała i nie przyjechała. Mam z nią korespondencję nawiązaną, bo później się okazało, że chodziła również do tego gimnazjum, gdzie ja. Taka jakaś zbieżność. Czasy okupacji były u nas, u wujka już nie mieszkał mój dziadek z babcią, bo dostali pracę w majątku Buszczyńskich w Motyczu, koło Lublina. Tam się przenieśli z jedną z córek, z Ireną, a druga siostra Regina była polonistką i była wykładowczynią w liceum, później po wojnie w uniwersytecie. Była mistrzynią Polski w szachach, Regina Gerlecka, siostra mojej mamy i tego właśnie wujka. Ona się już przeniosła do innego mieszkania, więc myśmy już mieli dużą przestrzeń. To były duże, przestronne pomieszczenia, nie żadne klitki. Sufit nie leżał na głowie, ani ściany nas nie ścisnęły. Takie budownictwo było zupełnie inne. To niesłychanie trudne do ogrzania, bo przecież, gdzie były piece. Drugie piętro, węgiel z piwnicy, noszenie, palenie, niewygody takie, ale to było nic. Moja rodzina z racji swojej przeszłości kresowej odznaczała się ogromną dzielnością. Oni po prostu nie lamentowali nad tym, co się dzieje, tylko starali się jakoś w tym przeżyć, jakoś to pokonać i ochronić siebie, dzieci najbardziej jak się dało. Później były bombardowania, schodzenie, zbieganie do piwnicy, okropne rzeczy. Ludzie płakali, bali się, bomby spadały, modlili się, karbidówki, bo potem już zabrakło prądu w piwnicach, w mieszkaniach zresztą też. Wtedy, po bombardowaniach, były jakieś uszkodzenia. Te karbidówki strzelały, śmierdziały. Wrażenie było takie, jak by człowiek się znalazł w jakimś piekle, nie wiem, jak to określić po prostu. Bardzo to było smutne. I ten strach, ciągły strach. Na ulicy łapanki, wywózki, ciągle się dowiadywaliśmy, że kogoś nie ma, że ktoś zaginął. Potem się rozpoczęły te (...) jak już Armia Krajowa zaczęła wojować z Niemcami, to brali zakładników Niemcy, a to wystrzelili ich na ulicach, a to wieszali z balkonów z zagipsowanymi ustami i kazali ludziom na to patrzeć, po prostu się działy rzeczy, nie da się tego opisać. W tym wszystkim trzeba było żyć normalnie. Wujek musiał chodzić do szpitala, trzy razy w tygodniu przyjmował pacjentów u siebie w domu, a moja mama nie pracowała, bo nie miała w ogóle gdzie pracować. Zajmowała się wyłącznie domem i tym, żebyśmy mogli coś jeść, bo przecież kto przyjeżdżał do Warszawy z wieśniaków, z jakąś bańką na mleko czy serem, czy z masłem, to na dworcu był rewidowany i zabierano mu to. Myśmy mieli ograniczoną dostawę czegokolwiek, a cała żywność była na kartki. To była żadna żywność jako odżywianie. Marmolada z buraków i jakiś chleb, wydzielane porcje. O jajkach można było pomarzyć. Rzeczywiście miała trudność. Później się starała jakoś, żeby można było zrobić jakieś przetwory, jakiś szczaw, pomidory, żeby było na zimę, żeby można było się jakoś pożywić. Ojciec mój dorywczo pracował to tu, to tam. Jakieś prace fizyczne, w zasadzie choć nie miał już na to siły, podejmował, żeby tylko cokolwiek zarobić i było okropnie. Druga sprawa, to muszę powiedzieć o czymś, czego nie umieściłam w tej relacji pisemnej. Wszyscy z mojej rodziny grali na jakimś instrumencie. Śpiewali, grali, mieli piękne głosy. Na kresach się właśnie tak spędzało czas. Robili sobie teatry, pisali dialogi, wierszowane, wszyscy to umieli. Umieli pisać wiersze. Moja ciotka, polonistka, o której wspominałam, to też była młodą poetką, później już to zarzuciła. W każdym razie były to ciekawe takie parafrazy różne z dobrych pisarzy, dobrych poetów w nawiązaniu do obecnej sytuacji. To były takie ciekawe poematy. Listy do siebie pisały siostry wierszem. Całe zdarzenia opisywały sobie wierszem, długim wierszem, na całą stronicę. Jeden taki się przechował, bo jedna, jedyna moja ciocia nie była wywieziona. Ona mieszkała w Puszczy Mariańskiej, była tam nauczycielką w szkole, jej mąż był kierownikiem w tej szkole. Oni nie zostali wysiedleni, dlatego u nich przetrwało troszeczkę zdjęć, bo z czasem robili sobie zdjęcia i posyłałi sobie, to kilka zdjęć się zachowało. Mogliśmy później u nich zamieszkać, ale to już później. W każdym razie moja siostra uczyła się gry na fortepianie, a ja na skrzypcach,

a wujek grał na gitarze i na fortepianie, ten, u którego mieszkaliśmy. Starszy jego brat grał na skrzypcach, nawet po wojnie w Filharmonii Olsztyńskiej. Wszyscy byli muzycy, ojciec mój przepięknie śpiewał barytonem, mama sopranem pięknie wszystkie dumki kresowe. Zнали języki, bo uczyli się. O dziwo nauka była tam na wysokim poziomie. Szanowane były uniwersytety rosyjskie przed I wojną na świecie i w ogóle ludzie się tam uczyli bardzo dobrze. Musieli rozmawiać wyłącznie po rosyjsku, nie wolno było używać języka polskiego i przedmioty wykładane były w języku rosyjskim, ale oni mieli wszystkie przedmioty wykładane przez kompetentnych nauczycieli. Oni wiedzą rozporządzali u schyłku swojego życia dziewięćdziesięcio- czy któregoś tam letniego. Byłam pełna podziwu. Wnuki mojego taty oczy otwierały ze zdumienia, że on coś takiego wie, co im by przez myśl nie przeszło. Poza tym oni byli wyposażeni w tych szkołach w bardzo dobrą naukę języków obcych. No łacina i greka, ale francuski i niemiecki. Rosyjski musieli mówić. Trzy języki już mieli obce od razu w szkole, ale musieli nimi mówić i oni to umieli. W związku z tym potrafili się porozumiewać z Niemcami, z Rosjanami. Potrafili coś wytłumaczyć, coś osiągnąć w takiej rozmowie, coś uratować później. W każdym razie muszę powiedzieć, że sama byłam zaskoczona niejednym razem. Potem mój wujek, który miał duże znajomości i dużo pacjentów, zorganizował pomoc dla artystów, szczególnie muzyków, żeby oni mogli u nas koncertować, bo nie chcieli koncertować dla Niemców. Wujek miał dwa fortepiany: jeden Bechstein, a drugi Bluthner. Można było grać na dwóch fortepianach. Był taki duet Markiewiczówna i Alinówna, one grały tak i późniejsi wielcy muzycy światowi. Synowie profesora Franciszka Łukaszczyka z Instytutu Radowego, jak się wtedy nazywał z Wawelskiej. Przed samym Powstaniem oni koncertowali, to byli dwaj chłopcy bliźniacy, o nazwisku Łukaszczyk. Jeden chyba nie żyje, a drugi jeszcze żyje, ale to na zachodzie i oni tam byli uznawani, cieszyli się bardzo dobrą sławą. To tak na marginesie tego wszystkiego, a nazwiska artystów, którzy koncertowali u nas na skrzypcach, na fortepianie i w śpiewie, to ja mogę wymienić. Te wszystkie nazwiska, to potem byli profesorami, światowej sławy ludźmi. Panufnik, Lutostawski, profesor Wójtowicz, jego siostra Stefania Wójtowicz śpiewaczka, Irena Dubiska, skrzypaczka, Eugenia Umińska, skrzypaczka, profesor Tadeusz Krotowicki katowickiego konserwatorium, profesor Burkat, też skrzypek. Na fortepianie to jak mówiłam profesor Wójtowicz, Stanisław Szpinalski, Włodzimierz Mierzejewski, nawiasem mówiąc, chrzestny ojciec mojego syna i mojej siostry córki. Niestety nie w Polsce i chyba już nie żyje nawet, bo straciliśmy kontakt. Jeszcze szereg innych, w tej chwili akurat nie pamiętam, ale wszyscy ludzie przychodzili ze względu na to, że mogli tam (...) wujek rozprawdzał bilety, ludzie opłacali ten koncert i ci ludzie mogli dzięki temu przeżyć. Innych możliwości oni nie mieli. Jak mówię, nie chcieli grać dla Niemców ani w teatrach, ani w salach koncertowych. Halina Mickiewiczówna też śpiewała, też dobra śpiewaczka, uczennica Ady Sari. Takie ciekawe towarzystwo było, a myśmy się tak nauczyły zasypiać i budzić przy dźwiękach muzyki, bo oni też przychodzili ćwiczyć do nas. Teraz niebezpieczeństwem dla nas wszystkich była obecność tych niemieckich oficerów, którzy rekwirowali najładniejsze pokoje we wszystkich kamienicach. Od frontu, z balkonem, największe, najładniejsze i tam się zakwaterowywali. Jeden z nich zajął salon piętro wyżej u pułkownika Zachorowskiego i jego żony, nawiasem mówiąc, ich syn zginął w tym strasznym wybuchu na Starówce 13 sierpnia 1944 roku. Miał 16 lat, pseudonim Dzidek, śliczny chłopak, wspaniały kolega. No niestety. W każdym razie on był muzyczny i sam grał na fortepianie, ten oficer, który tam zamieszkał. Przyszedł kiedyś do mojego wujka i mówi po niemiecku, tak jak by wiedział, że można mu rozmawiać tak. Oni myśleli, że wszyscy znali niemiecki. On właśnie mówi, że on by chciał posłuchać, jak tutaj jest taki koncert, bo przecież to wszystko trzeba było robić przy zamkniętych oknach. Muzyka Chopina była zabroniona. Potem trzeba było wychodzić pojedynczo, nie można było wychodzić grupą, bo ta grupa była od razu podejrzana. Musieli rozchodzić się do domów w jakiś delikatny sposób przed godziną policyjną. Wszystko było obwarowane ostrożno-

ściami, dyskrecją. Ludzie wiedzieli, że tak muszą i nie buntowali się przeciwko temu. Ta odskocznia w tej muzyce pozwalała przetrwać, nie tylko tym muzykom, ale nam i wszystkim, tym uczestnikom, słuchaczom. Ponieważ kultura była zawsze najważniejsza, nawet w czasie Powstania. W czasie Powstania też przychodzili artyści i też grali tylko dla Powstańców czy dla rannych. U nas już nie grali w czasie Powstania. Teraz mogę powiedzieć o tych osobach, które do nas trafiały. Wujek, moja mama i mój ojciec należeli do Armii Krajowej. Wiązało się z tym duże niebezpieczeństwo dla rodziny i dla nich, ale uważali, że tak trzeba. Pomagali różnym ludziom. Na początku wojny u nas przez parę miesięcy mieszkała poszukiwana przez Niemców generałowa Kleebergowa. To był obowiązek pomóc. Potem zjawiali się ludzie, zaczynali zjawiać się Żydzi. Jeszcze przed otwarciem getta. Najpierw to była żona profesora Brunera, dermatologa, pani Wanda z domu Stokowska, córka malarza, artysty, z jednym synem. Ten syn był podobny trochę do niej i nie stanowił takiego zagrożenia, ale wiadomo, kto to był, jak Niemcy poszukiwali. Jej mąż, profesor Bruner i drugi syn, to mój wujek znalazł dla nich inne pomieszczenie. Tamci z kolei nie mogliby się pokazać na ulicy, bo byli tak typowymi Żydami, takie rysy, wygląd i w ogóle. Poza tym Niemcy mieli opracowane te wszystkie cechy, które u Żydów występują. Oni wiedzieli, że jak się jakoś porusza, jakoś się boi, dziwnie się zachowuje, to już niezależnie od tego, czy on jest podobny do Żyda czy nie, to już budził podejrzania. Pewnego wieczoru zjawił się u nas doktor dermatolog. Nazywał się Jerzy Kon, nie znam pisowni nazwiska. Może być potrójna przecieź. Może być litera „H” wymieniona, tak jak się wymawia, może być pisana przez „K”, może być pisana przez „C”, nie wiem. U nas się nazywał Józef Stanisławski. Po wojnie zostawił nazwisko, bo wolno było. Zostawił nazwisko Stanisławski, a jedynie wrócił do imienia Jerzy. On mieszkał u nas od czterdziestego pierwszego, czterdziestego drugiego, tak już dokładnie nie mogę powiedzieć, do samego Powstania. Nie mógł podchodzić do okna. Nie mógł wyjść na balkon. Nie mógł wyjść na dwór. Nikt nie mógł wtedy tego. On był sympatycznym człowiekiem. Trochę przepytywał nas z lekcji. Nudził się przecieź, kartofle obierał. Jakoś trzeba było... Ciężko jest tak żyć. Myśmy go musiały uznawać za wujka, wujek Józef. Tych wujków potem się nagromadziło różnych takich. Przed wojną myśmy wszystkich znały, wszystkich wujków, wszystkie ciotce, wszystkich szwagrów i różnych tam innych krewnych. Tutaj raptem jakiś wujek, ten nieznany, ten nieznany, jakieś imię nieznane, niewymieniane przez całe życie. Teraz jak powiadomić dziecko, żeby nie mówiło o tym nikomu, bo nie wolno. Nawet o tym wujku, zwyczajnie do koleżanki: „A u nas jest wujek jakiś tam no”. „Jaki wujek?”. Kogoś to może zainteresować. W zwyczajnej opowieści, niewinnej. Ja nie wiem, jakim to cudem było, że myśmy tego nie mówiły nikomu. Nigdy i nikomu. Jak mówię, ja miałam dziewięć lat, jak wojna się zaczęła, nieskończone jeszcze i moja siostra sześć. Powiedzmy, po dwóch latach to też są nadal dzieci. Nadal gadające, bo myśmy były gadające, więc można było się spodziewać, że gdzieś, coś, komuś można powiedzieć. Do dziś tego nie zrozumieć, jak myśmy... Myśmy były tak nastawione przeciwko Niemcom, że wiadomo było, że nic nie może wyjść z domu, co może zagrozić. Nie wiedziałyśmy, co może nam zagrozić, nikt nie wiedział. Każdego dnia to było coś innego. Jakaś strzelanina na ulicy, jakieś bombardowania w nocy, po prostu koszmar. Za chwileczkę po tym lekarzu okazało się, że trzeba pomóc starszemu panu, nazywał się, nie wiem, jak się nazywał naprawdę, nazywał się Piotr Mitrowski. To był starszy pan, który chorował na anginę pectoris. Dusznicę bolesną. Mój wujek był internistą, specjalistą od serca, kardiologiem. Wtedy nie nazywało się specjalizacji. Nie były tak rozgraniczone jak później. Więc trzeba było mu pomóc, ale gdzie go schować, jak on dostawał ataków, to byłby słyszalny. Był taki zakamarek w tym mieszkaniu, nie wiem, co to miało być, może spiżarka jakaś, pojęcia nie mam, z ukrytymi drzwiami, ze ścianami i tam on został umieszczony. Tam żył do Powstania, do końca, do 6 października, bo nas wyrzucali 7. On wiedział już, że zostaniemy wyrzuceni, bo wysiedlane były te domy, już wiadomo było to. Zażył truciznę i w mękach zmarł. Nie dał się wziąć

Niemcom żywy. To były trzy lata, czterdziesty drugi, trzeci i czwarty. To jest po prostu... Każdy dzień jest zagrożeniem dla takiego człowieka i on jest zagrożeniem dla nas wszystkich, bo czasami i kamienice wybijali, nie tylko rodzinę. Wszystkich z kamienicy wyrzucali albo do obozów, albo zabijali. Także nigdy było wiadomo jaka represja może nastąpić w takim momencie jak odnajdą takiego człowieka. Dwa lata wcześniej zjawiała się pani Rose Bester. Lektorka języka angielskiego. Znała dobrze język polski, bardzo dobrze, bo ja mam list jej napisany po wojnie. Ona miała na imię u nas Leokadia, a nazwiska nie pamiętam. Bardzo była kontaktowa. Ale jak ich schować, do wujka przychodzili pacjenci, prawda? A tutaj są ludzie, którzy nie są schowani do piwnicy, do schowka, gdziekolwiek czy coś. Są na wierzchu w tym mieszkaniu. Jak można było, że nawet nie przejdzie do toalety, no jak. Dzisiaj sobie tego po prostu nie jestem w stanie wyobrazić, jak to by było dzisiaj to, co było wtedy. Niesamowite rzeczy. Mojego wujka, bo oni, tak jak mówię, trzy języki obce znali, a on się bardzo szybko od niej nauczył w rozmowach angielskiego. Nie wiedział, jak mu się to przyda potem. W każdym razie się nauczył. No i teraz jest czas Powstania. Oni wiedzieli, rodzice i wujek, że Powstanie będzie. Zgromadził jakieś łóżka ze szpitala, materace, pościel, jakieś bandaże, leki. Trzeba powiedzieć, że szpitale były niedoinwestowane od trzydziestego dziewiątego roku. Nie było tam możliwości, żeby mieć dobre wyposażenie. Bandaże się wtedy prało po pacjentach i zwijało. Nie było takich bandaży jednorazowych. No, ale co mogli, to zgromadzili. Sucharów nasuszyli już dwa miesiące wcześniej z tego chleba gdzieś kupowanego pokątnie, od jakiegoś sklepikarza, gdzieś po boku. Były suchary i mama zrobiła szczaw na zimę i pomidory w lipcu, przeciery. Po wojnie przez dwa lata tego nie ruszałam. I kasze zdobywali. Ktoś pojechał na wieś, czy do młyna, czy coś. Jakieś możliwości, ktokolwiek miał ze znajomych, to przychodzili i zaopatrywali. Myśmy wiedziały, że będzie Powstanie. Sama radość, nieprawdopodobna. Jest wtorek, godzina „W”, 17. Mży drobny deszcz. Na dźwięk syreny do ataku idzie grupka młodych, do ataku na tę szkołę Górskiego, gdzie są wojska umieszczone, te niemieckie, azjatycko-niemieckie. Strzały, ale oni idą naprzód. Oni nie patrzą, że są strzały, że im grozi niebezpieczeństwo, nic. Po prostu muszą iść. Jest pierwszy ranny. Szesnastoletni chłopiec w płuco. Krwawi taką czerwoną, pienistą krwią. Przynoszą go do nas, wujek go opatruje, ale już wie, że niedobrze będzie. Ale on przeżył, proszę sobie wyobrazić. Tych rannych potem mu znosili więcej. Z innych punktów też, zdobywanych też. On internista, jak to dawniej inni lekarze, których do dzisiaj będę podziwiał. Będę podziwiał do samej śmierci. Późniejsi powojenni lekarze wyśmiewali się z nich jako z tak zwanych omnibusów, czyli od wszystkiego. Co to poród przyjął, oko wyjął. Tu jest sytuacja taka, że internista dzisiaj nie dotknąłby się do żadnego grzebania, żeby dostać się do kuli, a on się dostawał. Mogę zrobić dygresję? Jako mały chłopak on się interesował wszystkim, co żyje. Zdechła zaba, została obrana i z mięśni, i szkielecik ułożony, na deseczce przypięty. Zdechła mysz, to samo. On potrafił stanąć nogą na grubą gąsienicę, pan takich nie widział, bo ja już też nie widziałam później. Taką grubą gąsienicę, puszystą, ogromną, nazywane one wtedy były niedźwiadek. Ja je jeszcze widziałam przed wojną, a potem już nie widziałam nigdy takich gąsienic. Jak się na nią nastąpiło, to ona ukąsiła. To potem ropiało, bo musiało. To była jadowita gąsienica. On się przyglądał temu, jak ropieje, jak wyciskał, jak brał jakieś zioła z babcinej apteczki, jakieś maści, jak szło, czy się goi, czy się nie goi. Wszyscy się z niego wyśmiewali: „Co ty robisz, dlaczego się tak paprzesz w to”. Ale mówił: „Mnie to interesuje”. Potem nawet mówił do mojego dziadka: „Święty Franciszku z Asyżu, daj mi na studia w Paryżu”. Tak został lekarzem. On był lekarzem z powołania, umiał wszystko. Znał każdy szmer płucny, dzisiaj mało kto zna z lekarzy. Każdy szmer sercowy, tego się trzeba uczyć od mistrzów, a teraz mistrzów tak bardzo nie ma. Są gdzieś, ale... Może Pan powiedzieć, że Pan trafia na mistrza? Bo ja nie mogę. W każdym razie on był z zamiłowania lekarzem, od dziecka. Potem on był cały... Wracając do Powstania, ten cały sierpień, to była jedna walka o przeżycie. Ranni nie mogli schodzić do schronu,

bo nie byli w stanie, więc ktoś musiał z nimi zostawać. Myśmy też zostawały, dzieci. Ja już miałam czternasty rok, a bardzo mnie ciągnęło zawsze do medycyny, chociaż drugi wujek był prawnikiem i on powiedział, że ja powinnam iść na prawo. Tamten nic nie mówił, co powinnam, tylko po prostu widział, że ja powinnam, naprawdę. Nie mówił, a widział. Więc ja się interesowałam tymi chorymi, pomagałam i moja siostra też. Bandaże zwiijałyśmy i temperaturę im mierzyłyśmy, łóżka stałyśmy, karmiłyśmy. Cała ta pielęgnacja, umyć i w ogóle. A przecież potem zrobił się straszny problem z wodą. Wodę mój ojciec nosił w wiadrach z kina Palladium, bo tam była studnia. Trzeba było przejść pod barykadami. Przed ojcem trup, za ojcem trup, a on przechodził z tymi wiadrami, ja nie wiem jak. Ludzie wykopali różne przejścia międzypowiatkowe, między jedną kamienicą, a drugą. Można było przejść dalekie ulice pod ziemią. Tak kiedyś przeszedł generał „Monter”. Generał Chruściel u nas odpoczywał na podwórzu ze swoją świtą, widziałam go. Tak że to wszystko pamiętam dzień po dniu tego Powstania. Dzień po dniu, łącznie z pogodą. Z tymi modlitwami na podwórku. Potem z tymi nadawanymi z BBC z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej. I radio „Błyskawica”. To się w ogóle nie da dzisiaj opisać. Jak to Powstanie wybuchło, to wszyscy byli tak radośni, że po prostu jedni drugich ściskali ze szczęścia, że w ogóle będzie wolna Warszawa, będzie wolna Polska. Nikt nie miał wątpliwości. Nawoływali z drugiej strony Wisły, stała tam Armia Czerwona. Nawoływali, oni rzucali ulotki, że przystąpcie do Powstania. Przed Powstaniem nawoływali: „Pomożemy wam”. Ponieważ moi dziadkowie uciekali z Bolszewii i rodzice, i całe ich rodzeństwo uciekali z Bolszewii, to oni wiedzieli, że nigdy nie można uwierzyć. Nie można wierzyć ani Niemcom, ani Bolszewikom, Rosjanom. Tak że wbrew temu co Europa twierdziła już wtedy, bo przecież przyjmowali po I wojnie tych bojarów ruskich do otwierania sobie restauracji, drzwi, do otwierania limuzyn. Chwalili się Francuzi, że otwierają mi drzwi jakiś książe czy inny arystokrata. Ta dusza rosyjska, ta dusza tajemnicza, ta wspaniała, ta muzyka wspaniała. Muzyka wspaniała, ale dusza... Tajemnice rosyjskiej duszy naprawdę nie są do rozpoznania już. Ile tam jeszcze jest zła. Co oni wszystko potrafili. Ja w tym wyrosłam. Moi dziadkowie nie opowiadali mi bajek. Opowiadali o tamtym życiu. O tej pięknej krainie, malowniczej, żyznej. Nigdy jej nie zapomnieli. Nigdy się z nią nie rozstali w myślach. I nigdy nie pojechali na wycieczkę potem. To się nie da pojechać na wycieczkę do takich miejsc, które się opuściło na zawsze.